



INSPIRACJA
GŁOŚNEGO
FILMU

WIL HAYGOOD
KAMERDYNER

PRAWDZIWA HISTORIA
CZARNEGO SŁUŻĄCEGO
BIAŁYCH PREZYDENTÓW



DROGA KAMERDYNERA

GDZIEŚ TAM był. Teraz musiał już być człowiekiem starym. Przepracował dziesiątki lat w Białym Domu. Może zszedł z tego świata w zupełnej samotności, co zostało odnotowane jedynie drobną wzmianką. Jeśli jednak tak się stało, nikt nie potrafił tego potwierdzić. Może szukałem ducha. W istocie szukałem kamerdynera. Nie byłem w stanie zaprzestać tych poszukiwań.

Tak jest, kamerdynera.

To taka staroświecka, anachroniczna nazwa – „kamerdyner”. Ktoś, kto ludziom służy, kto widzi, ale nie widzi; ktoś, kto umie odczytywać nastroje tych, którym służy. Postać w cieniu. Kinomani zakochali się w kamerdynerze jako postaci z filmu *My Man Godfrey* z 1936 roku [polski tytuł: *Mój pan mąż*], w którym William Powell grał rolę kamerdynera w zwariowanym domu. A niedawno

kamerdyner oraz inni aktorzy grający służących zyskali popularność w bardzo lubianym serialu telewizyjnym *Downton Abbey*. Mój kamerdyner był dżentelmenem. Nazywał się Eugene Allen. Przepracował trzydzieści cztery lata w rezydencji przy Pennsylvania Avenue 1600 w Waszyngtonie, którą świat zna jako Biały Dom.

Wreszcie po rozmowach z dziesiątkami osób na obydwu wybrzeżach naszego kraju, po dziesiątkach telefonów odnalazłem go. Był jak najbardziej żywy. Mieszkał wraz z żoną Helene na cichej ulicy w północnym Waszyngtonie. Eugene Allen pracował jako kamerdyner za administracji ośmiu prezydentów, od Harry'ego Trumana do Ronalda Reagana. Był świadkiem historii nierozpoznanym przez nią.

– Proszę wejść – powiedział, otwierając drzwi swego domu w ów zimny listopadowy dzień 2008 roku.

Zdążył już zażyć swoje poranne leki. Zdążył podać śniadanie żonie. Liczył osiemdziesiąt dziewięć lat i miał właśnie otworzyć przede mną nowe drzwi do historii.

Oto jak wyglądała opowieść kamerdynera z Białego Domu, który zaistniał w gazetach na całym świecie, gdy moja relacja ukazała się na pierwszej stronie „Washington Post” trzy dni po historycznym wyborze 4 listopada 2008 roku Baracka Obamy na prezydenta.

WSZYSTKO ZACZĘŁO SIĘ W nocnych ciemnościach latem 2008 roku w Chapel Hill, w Karolinie Północnej. Północ nadeszła i minęła, przemówienie było podsumowywane, analizowane i opisywane. Kolejny rokujący nadzieję demokratyczny kandydat na prezydenta żarliwie przekonywał tłum studentów i wyborców, dlaczego powinni na niego głosować. Na kampusie Uniwersytetu Karoliny Północnej ludzie obsiedli krokwie areny znanej jako Kopała Dziekańska. Emanujący spokojem i pewnością siebie kandydat szedł po zwycięstwo. Publiczność była wielokulturowa, młoda i stara. Z głośników płynął natychmiast rozpoznawalny chrapliwy głos Stevie'ego Wondera. Wśród starszej publiczności byli weterani ruchu praw obywatelskich: lata sześćdziesiąte, segregacja rasowa, ci dzielni biedacy zastrzeleni i grzebani na całym Południu. I oto przed zgromadzonymi stał kandydat w koszuli z podwiniętymi rękawami, trzymający mikrofon.

– Kandyduję z powodu, który doktor King nazwał gwałtowną potrzebą chwili bieżącej, bo wierzę w coś takiego, jak możliwość przegapienia szansy, a ta godzina, Karolino Północna, właśnie wybija.

Te słowa miały wydźwięk kaznodziejski, rewolucyjny i ówczesny senator Barack Obama bez wysiłku pode-rwał tłum na nogi. Okrzyki i oklaski wskazywały na jego zwolenników. Jednakże to było Południe, on był czarny, Biały Dom wydawał się fantastycznym marzeniem. Histo-

ria i demony czaiły się wszędzie, chociaż kandydat wydał się na to nieczuły.

Byłem jednym z dziennikarzy relacjonujących tej nocy kampanię Obamy dla „Washington Post” i przez siedem dni latałem w tę i we w tę z jednego stanu do drugiego. Po wiecu w Chapel Hill i przemówieniu – oraz przeprowadzeniu w środku wywiadów z kilkoma osobami – miałem wyjść i udać się do autobusu, który zabierał dziennikarzy z powrotem do hotelu. Nocne powietrze było słodkie i upajające. Nagle usłyszałem coś przedziwnego: płacz, i to dochodzący gdzieś z bliska. Odwróciłem głowę i usiłowałem przeniknąć wzrokiem ciemność. Tuż obok siedziały na ławce trzy panienki, studentki. Podeszedłem do nich i zapytałem, czy coś się stało.

– Nasi ojcowie nie rozmawiają z nami – wykrztusiła jedna z nich wśród łkań – bo popieramy tego człowieka.

Wszystkie były na wiecu w Kopule. Koleżanki mojej rozmówczynie przytaknęły, spoglądając zaczerwienionymi oczami. Ta kontynuowała:

– Nasi ojcowie nie życzą sobie, żebyśmy popierały czarnego, ale nie zdołają nas powstrzymać.

To mną wstrząsnęło. Usiadłem, by porozmawiać z nimi przez chwilę. Szlochy ucichły i na twarzach dziewcząt pojawił się wyraz otwartego buntu. Ignorowały swoich tatusiów, zamierzały brać udział w ruchu, który miał

wprowadzić tego czarnego do Białego Domu. Może to było wyczerpanie, może roilem jakieś mrzonki, może ich łyzy poruszyły mnie bardziej, niż zdawałem sobie sprawę. Ale tam i wtedy, w tych ciemnościach Południa – jakbym został kopnięty przez muła – powiedziałem sobie, że Barack Obama naprawdę wprowadzi się na Pennsylvania Avenue, do Białego Domu.

Po kilkunastu dniach od tej nocy w Chapel Hill oświadczyłem Steve’owi Reissowi, mojemu redaktorowi, że Barack Obama wygra prezydenturę, a ponieważ ją wygra, ja muszę znaleźć kogoś z epoki segregacji rasowej, znaleźć go natychmiast, żeby opisać, co ten nadchodzący doniosły moment w historii Ameryki znaczy dla niego. Powiedziałem, że chodzi mi o osobę, która pracowała w Białym Domu. Mój redaktor uniósł brwi. Nie wierzył, że Obama wygra, ale zawierzył mojej intuicji. Chciał, żebym uporał się z paroma zaległymi zobowiązaniami, a następnie udał się na poszukiwania owej widmowej osoby. Zastanawiał się, jak głęboko w przeszłość zamierzam sięgać.

– Mówisz o latach sześćdziesiątych?

– Jeszcze dawniej – odpowiedziałem.

Chciałem znaleźć kogoś czarnoskórego – mężczyznę lub kobietę – kto pracował i sprzątał w Białym Domu, kto zmywał tam naczynia, kto pił wodę z tych fontann TYLKO DLA KOLOROWYCH w Ameryce czasów Jima Cro-

wa. Nie obchodziło mnie, że wszyscy wokół nieustannie powtarzali: Ameryka nie wybierze czarnego prezydenta.

Czarny zatrudniony w Białym Domu w latach pięćdziesiątych? Pracownica w tamtejszej centrali telefonicznej oświadczyła, że mają zasadę niepodawania nazwisk byłych pracowników i że nie zna żadnego biura w Białym Domu, które dopomogłoby mi w poszukiwaniach. Reporter w swojej pracy zawsze natyka się na ściany, blokady dróg, powiedziałem więc sobie, że nie ma się czym przejmować. Poza tym miałem swojego informatora na Kapitolu, kogoś w biurze pewnego kongresmena, kto był skłonny mi pomóc. Niestety mimo wielu zabiegów tu i tam mój znajomy też nie mógł pozyskać dla mnie żadnej informacji. Inni wkrótce mieli mi do zaoferowania tylko puste spojrzenia albo długie pauzy w rozmowie telefonicznej. Żadnych nazwisk ani nawet tropów. I gdy zacząłem się już zastanawiać, czy taka osoba jest w ogóle do znalezienia, ktoś wspomniał o pewnej kobiecie z Florydy, która kiedyś pracowała w Białym Domu i może coś o kimś takim wiedzieć.

Pani z Florydy, dawna pracownica Białego Domu, podała mi nazwisko.

– Gdyby umarł, słyszałabym o tym – powiedziała. – Ostatni raz widziałam Eugene’a Allena na Pennsylvania Avenue 1600, gdy wsiadał do taksówki. Był na spotkaniu

w Białym Domu. Pracował tam wiele lat jako kamerdyner. – Nie wiedziała dokładnie ile.

Jeśli Eugene Allen jeszcze żył, trzeba było go odnaleźć. Skoro wsiadał do taksówki, kiedy moja rozmówczyni z Florydy widziała go po raz ostatni, to prawdopodobnie mieszkał w Waszyngtonie, Dystrykt Kolumbii, Maryland, Wirginia. Książki telefoniczne pełne były Eugene’ów Allenów. Po wykonaniu czterdziestu telefonów, nie natrafiwszy na poszukiwanego Eugene’a Allena, zacząłem wątpić, czy on rzeczywiście mieszka nadal w tej okolicy. Ludzie na starość zachowują się jak ptaki odlatujące na zimę do ciepłych krajów. Przeprowadzają się do Kalifornii, Arizony czy na Florydę. Ale też, oczywiście, umierają. Bezskutecznych telefonów przybywało.

– Halo, poszukuję pana Eugene’a Allena, który pracował kiedyś jako kamerdyner w Białym Domu. – Była to mniej więcej pięćdziesiąta szósta próba.

– Przy telefonie.

Podziemna kolejka dudniła pod powierzchnią Dystryktu Kolumbii. Kamerdyner dał mi wskazówki, jak dotrzeć do jego domu. Była to dzielnica robotnicza, w której w latach sześćdziesiątych miały miejsce rozruchy. Po drodze minąłem smażalnię ryb, domy modlitwy za sklepowymi szyldami i sklepiki z odzieżą. Furtka przed domem kamerdynera była wyraźnie uchylona: oczekiwano gościa.

– Proszę wejść – powiedział Eugene Allen. Miał z lekka przygarbione plecy i poruszał się z nieznacznym grymasem bólu. Przedstawił swoją żonę Helene, spoczywającą w fotelu klubowym z laską na kolanach. Uśmiechała się ciepło. Mieszkali sami. Kiedy usiadł, oboje szybko mnie poinformowali, że chętnie ze mną porozmawiają, ale dopiero gdy skończy się ich ulubiony teleturniej *The Price Is Right*. Śledzili kolejne epizody w skupieniu, co jasno dawało mi do zrozumienia, bym nie ośmielił się przerwać; nie odzywałem się więc.

Na brzegu stołu leżało z pół tuzina magazynów ze zdjęciem ówczesnego senatora Baracka Obamy na okładce. Widać było, jak dumni są z jego kandydatury. Podczas gdy teleturniej migał na panoramicznym ekranie telewizora (prezent od ich jedyne go dziecka, Charlesa, weterana wojny wietnamskiej, który pracował jako analityk w Departamencie Stanu), spostrzegłem na ścianie jedyną fotografię wskazującą na zatrudnienie w Białym Domu: Allenowie stojący z prezydentem i Nancy Reagan podczas jakiejś – chyba bardzo oficjalnej – uroczystości. Ciągle nie byłem pewien, dla ilu dokładnie prezydentów Eugene Allen pracował.

– Dla ośmiu – powiedział mi.

Ośmiu? Nie mógł nie zauważyć mojego zdziwienia.

– Zgadza się. Ośmiu. Zacząłem za Harry’ego Trumana i tak po kolei do prezydenta Reagana.

Zaczął mi opowiadać swoje życie. Urodził się w 1919 roku w Scottsville w Wirginii, na plantacji; dorastał jako „chłopak do wszystkiego” u białej rodziny. Przyuczili go do robót kuchennych i służył u nich do pełnoletności, zmywając naczynia i nakrywając do stołu. Nie było cienia goryczy w jego głosie, gdy opowiadał o swoim wychowaniu. Ale chciał jak Huck Finn wyruszyć w świat. Dotarł do znanego kurortu Hot Springs w Wirginii. Dzięki swoim wysokim kwalifikacjom otrzymał pracę kelnera.

W latach trzydziestych dzięki poczcie pantoflowej funkcjonującej między członkami kościołów szybko przybywało pracy dla Murzynów: bagażowi u Pullmana, boye w murzyńskich hotelach – to była awangarda, która uformowała trzon czarnej klasy pracującej i średniej. W Hot Springs ktoś powiedział Eugene’owi o pracy w Waszyngtonie, w podmiejskim klubie golfowym. Allen słyszał o waźniakach i hojnych napiwkach w klubach golfowych. Zapakował więc walizki do bagażnika i wkrótce znalazł się w stolicy.

Wielki Kryzys przygniatał kraj jak ciężki kamień, ale on miał pracę w Waszyngtonie i lubił ją. Nosił dobre ubrania, kapelusze z miękkim rondem i dwukolorowe półbuty. (Na niektórych fotografiach z tego okresu siedzi na masce samochodu w szykownym garniturze i fedorze i wygląda jak milion dolarów, choć był do cna splukany). Pewnego wieczoru w 1942 roku poznał na imprezie towarzyskiej

Helene, również świeżą mieszkankę Dystryktu Kolumbii. Jej krewni w Waszyngtonie przysyłali listy i czasopiśma do niewielkiego miasta w Karolinie Północnej, gdzie się urodziła i wychowała. Chciała się wyrwać z Południa Jima Crowa. Zdeterminowana błagała ojca, by pozwolił jej żyć w tej opisywanej przez krewnych mekce. Choć na początku powiedział nie, prosiła go tak długo, aż wreszcie ustąpił. I teraz w Waszyngtonie podczas towarzyskiego wieczorku ona i Eugene przypatrywali się sobie i potrząsali głowami przy dźwiękach muzyki – była pewna, że poprosi ją o numer telefonu. Trwała wojna i liczyła się każda chwila. Życie było tak nieprzewidywalne. Ale on okazał się zbyt nieśmiały.

– Wyśledziłam więc jego numer – mówi. Oboje chociaż.

Pobrali się rok po tym spotkaniu.

Do 1947 roku zaoszczędzili wystarczająco dużo pieniędzy, żeby kupić dom na Otis Place w Waszyngtonie. Eugene pracował w klubie golfowym. Praca ta wymagała dyskrecji i gładkich manier, a on miał te cechy, co zwróciło na niego życzliwą uwagę polityków i bankierów należących do klubu. Pięć lat później, w 1952 roku, ktoś w klubie powiedział mu, że potrzebni są pracownicy do pokoju kredensowego w Białym Domu i że powinien tam pójść i porozmawiać z Alonzem Fieldsem.

– A nawet nie szukałem pracy – powiedział mi.

Czarnoskóry Fields awansował z kamerdynera do pozycji maître d' w Białym Domu. Pochodził z Indiany, szkolił się w Konserwatorium Muzycznym Nowej Anglii, mając nadzieję, że kiedyś będzie uczył. Gdy zmarł jego dobroczyńca, muzyczne marzenia się rozwiały, więc by związać koniec z końcem, pracował jako kelner. Dołączył do personelu Białego Domu za administracji Hoovera i przepracował tam dwadzieścia jeden lat, służąc czterem kolejnym prezydentom. Nie miał pojęcia, że siedzący przed nim człowiek, Eugene Allen, pobije jego rekord w liczbie prezydentów i przepracowanych lat.

Fields mówił Allenowi o prestiżu, z jakim wiąże się praca w Białym Domu, o tym, jak ceni się tu dyskrecję i jak ważne jest jej zachowywanie. Musiał dostrzec spokojną godność Allena, gdyż zatrudnił go do pracy w pokoju kredensowym. Początkowo pensja wynosiła dwa tysiące czterysta dolarów rocznie. W roku 1952 były to przyzwoite pieniądze. Helene, osoba żywiołowa, miała teraz czym się pochwalić: mąż pracował na Pennsylvania Avenue 1600, o czym szybko dowiedzieli się od niej sąsiedzi i członkowie ich wspólnoty kościelnej. Z pewnością dodało to rodzinie Allenów pewnej ważności.

Eugene przyznaje, że miał tremę, kiedy Fields przyszedł po niego któregoś dnia, wkrótce po tym, gdy rozpoczęła pracę w Białym Domu. Fields poinformował go, że czas na spotkanie z prezydentem Trumanem.

– Niech pan po prostu słucha tego człowieka – poradził Truman Allenowi, wskazując palcem Fieldsa – a będzie pan bezpieczny.

Mijały lata. Eugene Allen awansował na pełnoprawnego kamerdynera. Dla uczczenia tej okazji, podobnie jak wcześniej innych, wydali z Helene małe przyjęcie w swojej suterenie, gdzie na dość pustych ścianach rzucał się w oczy wiszący w pobliżu baru czarno-biały portret Jackiego Robinsona. Na takie niewielkie przyjęcia przychodzili koledzy kamerdynerzy z żonami, sąsiedzi i znajomi z kościoła. Podawano koktajle i towarzystwo mogło się wreszcie zrelaksować po całym tygodniu sztywnej etykiety. Goście przy karcianym stoliku i prowizorycznym barze domagali się choć strzępu informacji na temat tego, co dzieje się w Białym Domu. Eugene jednak zawsze trzymał język za zębami.

Teraz, po latach, jakie upłynęły od jego przejścia na emeryturę, Eugene Allen był bardziej otwarty. Przyznał, że nie przewidział, jak potoczy się historia w ciągu tych – w sumie trzydziestu czterech – lat spędzonych przez niego na Pennsylvania Avenue 1600. Wspominał uścisk ręki z każdym prezydentem, dla którego pracował, i jak nocował w Białym Domu, kiedy pogoda nie pozwalała mu wrócić do siebie. Wspominał loty Air Force One i szukanie dla dzieci wielkanocnych jajek. Opowiadał o wszystkich bankietach i lunchach w Białym Domu.

– Byłam tam, kochanie – wtrąca Helene.

Oboje się uśmiechają. Stare małżeństwo, stara miłość.

Podczas napiętych dni kryzysu, jaki spowodowała szkolna desegregacja rasowa w Little Rock, Eugene słyszał, jak prezydent Eisenhower spiera się przez telefon z gubernatorem Arkansas Orvalem Faubusem. Był bardzo dumny, kiedy Eisenhower wysłał wojska federalne, by chronić czarnych uczniów. Był obecny, kiedy prezydent Kennedy musiał zapewnić ochronę Jamesowi Meredithowi na kampusie Uniwersytetu Missisipi po tym, jak uczelnia wyrokiem sądu została zobowiązana do zarejestrowania pierwszego czarnoskórego studenta. Teraz kamerdynerowi zdarzało się mówić o tych wydarzeniach częściej, ale wtedy, gdy Helene pytała go o szerzące się w kraju rozruchy na tle społecznym i rasowym i o reakcję na nie aktualnego prezydenta, któremu służył, Eugene przeważnie milczał.

Były i słodsze chwile. Allen był tam, w Białym Domu, w 1963 roku, kiedy prezydent Kennedy przewodniczył uroczystości w setną rocznicę Proklamacji Emancypacji. Ani Allen, ani inni kamerdynerzy nigdy nie widzieli tyłu czarnych w Białym Domu – ponad ośmiuset krążyło po pomieszczeniach, wśród nich Langston Hughes i Sammy Davis jr. (Jeden z czarnoskórych gości zażartował, że człowiek czuje się jak w chacie wuja Toma). Wracając na

chwilę do kuchni, by złapać oddech, Allen kręcił głową w podziwie nad postępem społecznym: sam urodził się na dawnych ziemiach Konfederacji, ledwie pięćdziesiąt cztery lata po zniesieniu niewolnictwa.

Dziś oczywiście wiemy, że era Kennedy'ego zakończyła się tragicznie. Prezydent został zastrzelony w Dallas. Eugene Allen wraz z pozostałymi zrozpaczonymi kamerdynerami oczekiwał powrotu do Białego Domu tych, którzy z nim pojechali. Pamięta Pierwszą Damę Jackie Kennedy w stanie bliskim katalepsji i cichutkie głosy dzieci pary prezydenckiej, co robiło szczególnie smutne wrażenie. Po przybyciu tego wieczora do własnego domu Allen poczuł, że musi tam wrócić; nie mógł spać. Zaczął przygotowywać się do wyjścia. Helene odradzała mu wychodzenie tak późno, po tak krótkim wypoczynku. Ale on się uparł. Wkładając w holu płaszcz, wybuchnął płaczem. Jego syn Charles powiedział mi później, że był to pierwszy i jedyny raz, kiedy widział ojca płaczącego. Istotnie Kennedy cieszył się wręcz ewangelicznym oddaniem czarnych Amerykanów.

Eugene Allen z bólem patrzył na Biały Dom pogrążony w tak czarnej rozpacz. Widać to było wszędzie: w pokoju kredensowym, w kuchni, w Zachodnim Skrzydle. Kennedy był prezydentem, który zaczynał przekonywać nieprzejednanych członków swojej Partii Demokratycznej z Południa do kwestii praw obywatelskich. Urządzał

też spotkania w Białym Domu, na które zapraszano więcej czarnych niż kiedykolwiek przedtem. A teraz zginął z rąk jakiegoś strzelca.

Jednym z wyjątkowych talentów Eugene'a Allena – którego pozycja jako kamerdynera w Białym Domu wzrastała z każdą kolejną administracją – była zdolność improwizacji. W dniach, które nastąpiły po zamachu, chciał wnieść trochę otuchy do Białego Domu; szczególnie martwił się o dzieci Kennedych, Johna i Caroline. Dawno nie było takiego powiewu młodości w Białym Domu, naród rozczulał się nad dziećmi, kiedy biegły do ojca i wpadały w jego ramiona. Eugene polecił szefowi kuchni przygotować trochę smakołyków: zamierzał wydać przyjęcie dla Johna i Caroline oraz ich małych przyjaciół. I oto wszystkie dzieci zasiadły wokół niskiego stolika, a kamerdyner, schylony, usługiwał im. Przynajmniej przez chwilę można było słyszeć kakofonię dziecięcych głosików piszczących radośnie. Nawet kamerdyner znalazł powód, by się uśmiechnąć.

Prezydenta Johnsona Eugene uważał za dzielnego człowieka, choć miał zastrzeżenia co do pewnej wulgarności jego języka. Tak, zdarzało się, wiele razy się zdarzało, że Eugene Allen chciał pójść wprost do prezydenta Johnsona i opowiedzieć mu o swoim chłopaku, Charlesie, który został wysłany do Wietnamu, który pocił się w ciemnej dżungli, który próbował przeżyć i przywieźć tyłek

z powrotem do domu. Jednak Eugene Allen miotał się niczym łódeczka na wzburzonych falach: z jednej strony obawiał się, że wyrzucą go z Białego Domu za niesubordynację, a z drugiej – on i Helene niepokoiili się o życie jedyne go syna, który walczył gdzieś na krańcach świata. Ojciec kamerdyner, obserwując, jak zmienia się historia, nie mógł powiedzieć słowa. Mógł tylko stać nieruchomo, kiedy Johnson rozmawiał ze swoimi błyskotliwymi „jastrzębiami wojennymi” – Robertem McNamarą, McGeorgem Bundym i Deanem Ruskiem – i wrzeszczał, by wysłać więcej i więcej, i jeszcze więcej wojska. O prezydencie Richardzie Nixonie Allen powiedział tylko, że był bystry, nieco tajemniczy i trochę odległy – charakterystyczne cechy, które przyczyniły się do upadku Nixona.

Podczas weekendów w Waszyngtonie kamerdyner czasem grał w golfa na Langston Golf Course. Prowadziło to do pogawędek z prezydentem Fordem, który również był golfistą. Allen i Ford obchodzili urodziny w tym samym dniu.

– Dzisiaj są także urodziny Gene’a! – wołała Pierwsza Dama Betty Ford, kiedy wnoszono tort jako niespodziankę dla jej męża.

Natomiast ledwie Eugene włożył klucz do swojego zamka, Helene, wręczwszy mu urodzinowe prezenty, natychmiast dopytywała się, co pani Ford dała na urodziny prezydentowi.

W roku 1980, za administracji Reagana, Eugene Allen awansował na maître d', stanowisko dające władzę nad kamerdynerami i pokojówkami w Białym Domu. (Przetrwał wielu innych kamerdynerów, dublując liczbę prezydentów, którym służył przyjmujący go do pracy Alonzo Fields). Allen, choćby nie chciał, musiał odczuwać napięcie w Reaganowskim Białym Domu związane z problemem apartheidu w RPA. Wielu czarnych Amerykanów z ruchu praw obywatelskich łączyło się z liberalnymi białymi – w tym sporą liczbą polityków republikańskich – w atakowaniu administracji Reagana za popieranie systemu apartheidu. Ale kamerdynerzy Białego Domu nie śmieli wkraczać w polityczne szranki. Pracowali, by poprawić byt swoich rodzin, i stawiali się do pracy codziennie. Przez cały ten czas – trzydzieści cztery lata i ośmiu prezydentów – Eugene Allen nie opuścił ani jednego dnia. Nawet podczas rozruchów w latach sześćdziesiątych, kiedy trudno było przejechać przez ulice Waszyngtonu, docierał do pracy – piechotą, jeśli nie dało się inaczej.

Pewnego popołudnia w Reaganowskim Białym Domu Eugene Allen ujrzał idącą w jego kierunku Nancy Reagan. Zbliżał się oficjalny obiad na cześć zachodnoniemieckiego kanclerza Helmuta Kohla. Pomyślał, że Pierwsza Dama chce, aby dopilnował ostatnich szczegółów. Tymczasem Nancy Reagan oświadczyła, że Eugene Allen nie będzie pracować przy obiedzie. Osłupiał. Za-

nim zdołał cokolwiek powiedzieć, poinformowała go, że oboje – on i jego żona Helene – będą uczestniczyć w nim jako goście prezydenta, dla uczczenia dziesiątków lat jego służby Białemu Domowi i kolejnym prezydentom. Był głęboko wzruszony, prawie niezdolny się ruszyć. Wyobrażał sobie minę żony, gdy usłyszy, że idą razem na oficjalny obiad. Był pierwszym kamerdynerem w historii Białego Domu zaproszonym na oficjalny obiad w charakterze gościa – niczym ambasadorzy i potentaci biznesowi.

Helene wspominała swoją treść przed zbliżającą się uroczystością, niepewność, jak się ubrać i jaką biżuterię założyć. Zwierzała się przyjaciółom ze swego zdenerwowania i zamęczała syna Charlesa rozterkami, o czym na miłość boską będzie rozmawiać. Nie skończyła przecież studiów. Wbrew jej obawom oboje z Eugene'em, wychodząc w ów wieczór z domu, wyglądali olśniewająco. Klejnoty Helene błyszczały. Sąsiedzi spoglądali na nich szeroko otwartymi oczyma.

Tego wieczoru Eugene Allen wszedł do Białego Domu frontowymi drzwiami, a nie tylnym wejściem dla służby. Czuli się oszołomieni luksusem i splendorem.

– Piliśmy szampana – nie pierwszy raz wspominała żona kamerdynera. Ten wieczór pozostał żywy w ich pamięci.

Gdy to powiedziała, Eugene, bujając się w fotelu, uśmiechnął się szeroko: w końcu przez tyle lat dbał o zapasy szampana w Białym Domu.

Jak gdyby w poszanowaniu tego bardzo specjalnego wieczoru Eugene i Helene Allenowie mieli na ścianie tylko jedną fotografię, która nawiązywała do lat spędzonych w Białym Domu. Na tej fotografii widać, jak czekają w kolejce gości zaproszonych na ten oficjalny obiad, by wymienić uścisk dłoni z prezydencką parą. Plantacja, na której wyrósł Eugene, musiała wydawać się czymś z innego życia.

Szczerze mówiąc, gdy tylko wszedłem do domu Allénów, zdziwił mnie brak pamiątek z najważniejszych momentów jego kariery w Białym Domu. W Waszyngtonie ludzie oprawiają w ramki i rozwieszają najrozmaitsze zdjęcia i dokumenty.

Po paru godzinach mojej pierwszej wizyty, gdy zmęczyliśmy się rozmową i wspomnieniami, Helene powiedziała do męża:

– Teraz możesz mu pokazać. – I kiwnęła głową w moją stronę.

Eugene Allen wstał powoli. Poprosił, żebym udał się za nim z salonu do kuchni, gdzie zatrzymał się przed jakimiś drzwiami. Długą, kościstą ręką sięgnął do szlufki na pasku, u której pobrzękiwał pęk kluczy. Jednym z nich otworzył drzwi. Zastanawiałem się, po co ktoś zamyka

drzwi do własnej piwnicy na klucz. I szybko pomyślałem, że okolica jest szemrana, a oni są starzy i mieszkają sami.

– Niech pan idzie za mną – powiedział. – I trzymam się mojego ramienia. Wyłącznik jest na środku piwnicy.

Zeszliśmy po skrzypiących schodach w głęboką ciemność.

– Proszę bardzo, tu jest wszystko – powiedział, a ja zacząłem rozglądać się po jasnym już pomieszczeniu, zdumiony tym, co widzę.

Imponujące, wspaniałe fotografie na ścianach przedstawiały Eugene'a Allena z prezydentem Kennedym, z prezydentem Eisenhowerem, z prezydentem Nixonem. Wskazał zdjęcie, na którym był z Sammym Davisem jr. Na drugim był on i Duke Ellington, a także inni kamerdynerzy. Pociągnął mnie w dalszy róg piwnicy.

– Ike namalował dla mnie ten obraz – powiedział. Były też oprawione listy, jakie prezydenci przesyłali mu na urodziny.

Usłyszeliśmy szuranie stóp po kuchennej podłodze.

– Pokaż mu nasze zdjęcie z Ellą Fitzgerald – zawołała do nas z góry Helene.

– Zaraz. Nie bój się, pokażę mu. Zaraz – odkrzyknął kamerdyner.

Oczy mu błyszczały, uśmiechał się, jakby nagle doceniając waleczność i upór, jakie charakteryzowały jego

życie. Przesuwał przedmioty, żebym mógł lepiej widzieć. Były tam marmurowe popiersia prezydentów, dla których pracował, zdjęcia z oficjalnych przyjęć, gdzie Eugene Allen krzątał się w tle. Na półce leżało kilka grubych na dziesięć centymetrów albumów. W środku znajdowały się najwspanialsze zdjęcia z przyjęć w Białym Domu, jakie kiedykolwiek widziałem. Zapalone świece niemal mrugały na stronicach. Były oprowione i podpisane listy od prezydentów do Eugene'a i jego żony. A także kilka pudeł starych numerów „Look” i „Life”. Helene, współkuratorka kolekcji, ze szczególną starannością przechowywała wszystko z Jackie Kennedy na okładce. Była to prawdziwa uczta dla oczu. Jasne, że piwnicę należało zamykać na klucz. Mieściły się w niej skarby, które prawdopodobnie pewnego dnia miały wylądować w muzeum. Życie przeżywane w przygniatającym cieniu władzy. Życie przeżywane wewnątrz Białego Domu w czasach wojny koreańskiej, zimnej wojny, desegregacji w szkole w Little Rock, obywatelskiego nieposłuszeństwa Rosy Parks, kryzysu kubańskiego, lądowania na Księżycu, integracji rasowej na Ole Miss [Uniwersytet Missisipi; przypisy w nawiasach – od tłum.], Wietnamu, zamordowania Medgara Eversa, Martina Luthera Kinga, Malcolma X i usunięcia braci Kennedych. A także afery Watergate. I dojścia do władzy George'a Wallace'a i Barry'ego Goldwata, dwóch ludzi powiązanych z ruchami politycznymi, które przerażały czarnych.



Czarne plecy zgięte w pól w Białym Domu
i idealnie prosty kręgosłup moralny kamerdynera
stały się kanwą filmowej epopei Czarnej Ameryki.
Na jego twórców ma spaść deszcz Oscarów,
trafiających dotąd tylko w białe dłonie.

Dziennikarz „Washington Post”, szukając pereł przed wyborami w 2008 roku, znajduje diament. Opublikowana na pierwszej stronie gazety historia segregacji rasowej opowiedziana przez leciwego Eugene’a Allena, który ponad trzy dekady służył ośmiu prezydentom, porusza sumienie Ameryki.



Jednym uchem słyszał najważniejsze rozmowy świata, drugim – krzyk swoich braci wołających o prawa obywatelskie. Tę dramatyczną postać Forest Whitaker zagrał, zdaniem krytyków, fenomenalnie. A z obsadzoną w roli filmowej żony Oprah Winfrey stworzył duet, jakiego dawno nie oglądaliśmy w kinie. Sukces filmu to zasługa talentu i determinacji reżysera Lee Danielsa, by opowiedzieć tę mądrą i wzruszającą historię.

FILM KAMERDYNER W KINACH!

PATRONAT
MEDIALNY



BOOKLIPS.PL IIIII

KINO ŚWIAT
www.lubiekino.pl

www.marginesy.com.pl



9 788363 656133